



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Przemysław Teodorowicz

## Na Polesiu

Urodziłem się 21 listopada 1936 roku jako syn nauczycielki i pracownika administracji. Mama pracowała w Nowostawie koło Równego, a tato w Równem. W 1935 roku przenieśliśmy się na Polesie. Ojciec pracował jako referent w gminie Łachwa, a mama jako kierowniczka jednoklasowej szkoły we wsi Perynowo, odległej 5 kilometrów od Łachwy. Gdy wojna wybuchła miałem niespełna 3 lata, a moja siostrzyczka Iza 1,5 roku. Pozostała mi pamięć „sielskich anielskich” dni mego wczesnego dzieciństwa. Mama miała dobre układy z mieszkańcami wsi, uczniami i właścicielem domu, który wynajmował go gminie z przeznaczeniem na szkołę. Jeśli dobrze pamiętam, właściciel budynku nazywał się Sergiej Gontarczuk. Zabierał mnie w pole, uczestniczyłem we wszystkich pracach na roli. Pamiętam jazdę drabiniastym wozem, jesienią zwożenie ziemniaków. Nastrój pogody, rozległość terenu, zapach traw, ziół, dojrzewających zbóż z tych odległych lat jest jakby realnie obecny jeszcze dziś.

1 września 1939 roku wybuchła wojna. Dzieci nie przyszły do szkoły. Mama na próżno czekała w klasie. – Dlaczego dzieci nie przyszły, czy ludzie mają do mnie jakieś pretensje? – pytała. Nie – odpowiedział Sergiej – spoza granicy przybył jakiś przedstawiciel komunistycznej władzy i ogłosił, że będą zakładać białoruskie szkoły. Polacy będą mogli podjąć pracę w szkole dopiero wtedy, gdy nauczą się języka białoruskiego i dowiodą, że kochają władzę radziecką. – Ta wiadomość nie pocieszyła osoby, która była bardzo związana ze swoim zawodem. Praca na wschodnich kresach Rzeczypospolitej była dla mojej mamy marzeniem życia, uznawała ją za patriotyczną działalność.

17 września – napaść Związku Radzieckiego na Polskę. Mama jak zwykle czekała w szkole na dzieci, gdy na rowerze przyjechał posłaniec od ojca. Wiadomość odebrała mamie mowę: „Bolszewicy przekroczyli Prypeć. Przyjeżdżajcie natychmiast. Weź podwodę, ja tymczasem poszukam mieszkania w Łachwie” – powiadomił tato. Mama z trudem przygotowywała nas do drogi trzęsącymi się rękami. Siostrzyczka rozplakała się.

Sergiej wraz z córką pomogli nam w przeprowadzce. Sergiej w drodze opowiadał, że dalej na wschód na płaskim terenie wylądowały niedawno dwa samoloty, z których wysiedli przedstawiciele władzy sowieckiej i niemieckiej. Mieli oni postanowić o losach wojny i o losach Polski. Mama i tato nie bardzo byli przekonani o prawdziwości tej wersji.

Nasza rodzina zajęła na mieszkanie dom diakona. Był to drewniany dom z dwoma pokojami oraz kuchnią – w tamtych czasach Poleszycy budowali domy w obszarach zalesionych z tego taniego materiału. Jeszcze nie zdążyliśmy się na dobre zadomowić, gdy zobaczyliśmy trzech żołnierzy sowieckich w spiczastych czapkach na głowach, z przygotowanymi do strzału karabinami. Oglądali się na prawo i lewo penetrując wzrokiem ulice. Była to szpica, a jej zadaniem było sprawdzenie bezpieczeństwa

przed wkroczeniem Armii Czerwonej.. Po tym wydarzeniu część Polaków uchwaliła, że wszyscy mężczyźni pójdą w kierunku zachodnim zgłosić się do polskiej armii. Nie było to łatwe, ale kobiety zaakceptowały to posunięcie, ponieważ obawiały się wkroczenia dzicy, która jak w 1920 roku będzie mordowała inteligencję – głównie mężczyzn.

Zapamiętałem jeszcze jeden wstrząsający incydent. Zauważyliśmy w pewnym momencie wycofującą się grupę polskich żołnierzy – kilkanaście czwórek żołnierzy i porucznik. Była to, zdaje się jednostka KOP-u. Porucznik zwrócił się do mieszkańców obserwujących całą sytuację: „Pożyczcie mi rower, bo bolszewicy uszanują żołnierzy, ale zgładzą oficera!”. Niestety, nikt z obecnych nie miał roweru i żołnierze poszli dalej.

My, dzieci, nie chcieliśmy, aby tato poszedł w nieznaną. Mama ułożyła nas jednak do snu, byliśmy przecież bardzo zmęczeni wszystkimi wydarzeniami, a mężczyźni poszli zaciągnąć się do wojska. Po kilku godzinach wrócili. Okazało się, że nie sposób było iść dalej, ponieważ wszędzie zatrzymywali ich żołnierze Armii Czerwonej, wypytując kim są i dokąd idą. Nasi ojcowie tłumaczyli się koniecznością zakupienia żywności w sąsiednich wioskach. W każdym przypadku usłyszeli: Wiertajs obratno.

Tymczasem do wioski wkroczył pierwszy oddział Armii Czerwonej. Wzywali kolejno mężczyzn, legitymowali ich, urągliwie przyglądali się ubiorom i szydzili, że u nich jest wysoka kultura, bo ubrania mężczyzn z inteligencji są o wiele dostojniejsze. Aresztowali sekretarza gminy i jednego z urzędników. Wójt w randze kapitana zdążył już kilka dni temu wyjechać z pieniędzmi gminy.

Przy aresztowaniu urzędników obecny był stróż gminy, który wydawał opinie o każdym przesłuchwanym. Ojcu wydał najlepszą, jaką można było usłyszeć. Istotnie, tato był bardzo uprzejmy dla petentów, a ludności zasłużył się rozpisaniem praw własności gruntów pomiędzy wszystkich gospodarzy. W księgach gminy figurowali oni bowiem jako spadkobiercy dziadków, musieliby więc płacić większy podatek, niż od faktycznie posiadanego gruntu.

Rano ja i Izia spaliśmy jeszcze przy zasłoniętych oknach, gdy nagle do pokoju wpadł Neuman, człowiek z władz gminy. Z gniewem zwrócił się do mamy, że na podwórzu stoją czołgi radzieckie, a nikt serdecznie krasnoarmiejców nie wita. Wybawiciele muszą być uhonorowani, trzeba więc wywiesić czerwone flagi. Mama odsłoniła okna i odpowiedziała, że flagi ma właściciel domu. Neuman zawołał więc właściciela i kazał mu to uczynić. Tymczasem mama ubrała nas i wyszliśmy na podwórko. Na naszym i na sąsiednim podwórzu stały ogromne ruskie czołgi, a obok nich kobiety łamanym rosyjskim językiem rozmawiały z żołnierzami.

Ludność całymi dniami świętowała wyzwolenie od „krwio pijców”. Dziewczyny wystrojone w jedwabne sukienki spacerowały z żołnierzami, aż któryś z przyganą powiedział: U was szczodnia prazdnik? A kaka budeń? (To u was zawsze święto. A kiedy będzie dzień pracy?). Wkrótce jednak nastroje zmieniły się, ponieważ nowe władze zażądały zapłaty zaległych podatków. Była nawet mowa o tym, że stawka podatkowa będzie zwiększona, bo wojna kosztuje. Znajomi rolnicy, którzy mieli do nas zaufanie, zaczęli bardzo narzekać i tęsknić za poprzednią władzą.

Ośmioklasową szkołę średnią w Łachwie przemianowano na „dziesięciolatkę”, czyli średnią szkołę rozwojową. Na początek otwarto dziewczątą klasę. Nauczycieli Polaków przywoływali na razie do pracy. Mama była w ciąży, a na dodatek bardzo słabo władała wymaganym w szkole językiem rosyjskim. Zawucz (zawiaduszczyj uczebnoj czasci) – czyli dyrektor pedagogiczny, którym został nauczyciel Władysław Kamiński, widząc ciężką sytuację naszej rodziny, przeprowadził zmianę. Tato poszedł do pracy, a mama została w domu opiekując się nami. Główny dyrektor został natomiast przysłany do nas ze Związku Radzieckiego. Chodził w rubaszce, stąd Polacy żartowali, że wygląda najwyżej jak woźny. Kamiński miał za polskich czasów sławę lewicowca, choć do partii nigdy nie należał. Jego krytyczne wypowiedzi w stosunku do polskich władz narażały go na liczne monity. „Sowieci”, jak o nich mówiono, mieli bardzo rozbudowany wywiad. Wiedzieli wszystko o Polakach, stąd Kamińskiego uważali za swojego człowieka. Polaków często wzywano na mitingi (kształtujące konferencje). Na jednym ze spotkań tłumaczono, że burżuazja to „panowie”, a pospolitych ludzi traktuje się w Polsce jak chamów. Wówczas Kamiński zareplikował: „To nie tak, u nas mówi się per pan do każdego rozmówcy. To z grzeczności, par bonte.” Nie wiedzieliśmy, czy to z francuska brzmiące parbonte jest prawidłowo wymawiane, w każdym razie od tej pory zaczęto się witać żartobliwie tym powiedzeniem. W ten sposób w nasze życie wstąpiło trochę humoru. Żartowano trochę z pani dyrektorowej szkoły, ponieważ kupiła sobie sukienkę z falbanami, gdy w rzeczywistości była to nocna koszula.

Kamiński, mimo krytycznych wypowiedzi przez władzę okupanta, nadal był uważany za swojego człowieka. Zamianę taty na stanowisku nauczyciela miał zatwierdzić Łobaczewski, inspektor szkolny z Łunińca. Był to Polak z pochodzenia, bardzo życzliwy ludziom. Uznał on konieczność zmiany, a tacie obiecał skierowanie na kurs językowo-pedagogiczny. Ojciec przyjął tę wiadomość z entuzjazmem, mimo że snuł inne plany, mianowicie udział w walce o wolną Polskę. Nieraz słyszałem rozmowy rodziców na ten temat. Życie wlokło się ciężko jak po grudzie. Nie spodziewając się katastrofy, nie poczyniliśmy zapasów żywności. Z dnia na dzień ceny podsłakiwały, a na półkach sklepowych było coraz

mniej. „Aż dziwne skąd ta zmiana”. „Wyzwolili nas od masła i kielbasy” – drwili dorośli, a my z Izią powtarzaliśmy to, godząc się ze skąpym wyżywieniem.

Polaków coraz częściej zaczęto wzywać na mitingi, co było przygotowaniem do mającego nastąpić głosowania. Prymitywni mówcy, obwieszani medalami, z bronią w kaburach, opowiadali o wspaniałym życiu w Związku Radzieckim. Wyniszczali, jaka to u nich wysoka kultura (bolsza, jak w Paryżu). Omawiali działalność Stalina i bohaterów Związku Radzieckiego. Mama tylko dwa razy poszła na te mitingi. Potem wytłumaczyła, że musi opiekować się małymi dziećmi, a mąż przekazuje jej treść szkolenia. Najwięcej czasu „politruk” poświęcał sprawie przyłączenia Zachodniej Białorusi do Związku Radzieckiego. Tłumaczył, że jest to wynagrodzenie krzywdy ludności, która chce żyć pod władzą ZSRR, gdzie tak wolno dyszet człowiek – takie głosy natrętnie wdzierały się w uszy z megafonów ulicznych.

Było to chyba 20 listopada 1939 roku. Z megafonów ogłaszano, że odbywa się głosowanie, i każdy obywatel ma jak najszybciej okazać gotowość, czyli iść do urny i oddać głos. Tato poszedł około południa, ale mama sądziła, iż skoro uwolniła się od uczęszczania na mitingi, to z tej samej przyczyny będzie zwolniona od głosowania. Tymczasem, około godziny 18 weszło do naszego mieszkania dwóch bojców z bagnetami nałożonymi na karabiny. „Marija Teodorowicz, chadzi s nami”. Ja i Izia popłakaliśmy się. Co stanie się z mamą? Na szczęście mama niedługo wróciła. Okazało się, że złożyła tylko podpis w jakiejś rubryce i wysłuchała pouczenia o szacunku do władzy radzieckiej. W domu przytuliła nas, i tak zakończył się ten smutny dzień.

Nadeszła wigilia. Rodzice postanowili, że spędzimy ją razem z Kamińskimi. Mama przygotowała skromne przyjęcie. Na szczęście grzybów w lasach było w bród. Jedliśmy zupę grzybową, barszcz z uszkami z grzybów, kapustę z grzybami. Były także śledzie w trzech gatunkach, paluszki i łamańce z makiem. Najważniejsze, że mieliśmy kawałek opłatka, który tato otrzymał od księdza w Łunińcu, choć już wtedy trudno było prowadzić duszpasterską działalność.

Usiedliśmy do stołu. Moja siostrzyczka miała wplecioną we włosy kokardkę i była śliczna, jak z obrazka. Pomodliliśmy się, przełamaliśmy opłatkiem z serdecznymi życzeniami lepszych dni dla nas i dla ukochanej ojczyzny. Rodzice snuli plany dostania się pod okupację niemiecką, gdzie miało nie być tak bezpośredniego zagrożenia. Choć wiedzieli, że niebezpieczeństwo ze strony Niemców będzie czyhało, to między ludnością polską łatwiej było o porozumienie. Wprawdzie w Łachwie miejscowi ludzie nie okazywali wrogiej postawy, ale współpraca z nimi była możliwa.

Zaczął się niepomysłny czas dla wszystkich, których źle postrzegały władze radzieckie. Było to w styczniu 1940 roku. Mama przyszła do domu bardzo zmartwiona. Z trudem stojąc w kolejce kupiła 1 kilogram czarnego, ościstego chleba. Nie to jednak było powodem jej smutku. Komuż miała się zwierzyć, jak nie nam dzieciom. – Spotkałam się z panią Pribową. To nauczycielka Białorusinka. Jej mąż także jest nauczycielem. Powiedziała mi, abym jak najszybciej ostrzegła panią Skorupczynę. Mąż tej pani jest wywieziony jako jeńiec wojenny, oficer Wojska Polskiego, do Kozielska. Teraz wywożą na Sybir rodziny oficerów i ona jest na liście. Powiedziałam pani Skorupczynie o ostrzeżeniu, na co ona zamyśliła się. Nie była zdecydowana na ucieczkę z dziesięcioletnim synkiem i porzucenie umeblowanego mieszkania. Mama uważała, że ta kobieta zrobi duży błąd, jeśli natychmiast nie wyjedzie.

Od stycznia 1940 roku żyliśmy pod ciągłą grozą wywiezienia na Sybir. W lutym nasiliły się wywózki, ale już w styczniu wywożono osadników wojskowych i ich rodziny, a także rodziny policjantów. Pociągi jadące na wschód przerażały mnie. Niosła się wieść, że pod Łachwą wyrzucono z wagonu zmarłe dziecko prosto w śnieg. Myśleliśmy, że to plotka, ale z czasem okazało się, że takie wydarzenia były na porządku dziennym. W kwietniu poszliśmy z mamą na dworzec, na wieść o kolejnych wywózkach. Na podłodze wagonu pociągu towarowego siedziała znajoma kobieta, a koło niej mnóstwo tobołów. Była smutna, ale nie płakała. Na szczęście bojcy, to byli przyzwoiaci ludzie, i dzięki temu mogliśmy dać jej butelkę mleka, chleb i kawałek słoniny. Podziękowała nam, ale próbę rozmowy udaremnił strażnik, który tłumaczył się, że będzie miał nieprzyjemności od starszyzny. W drodze do domu mama płakała.

Wydarzenie pierwszej styczniowej nocy do dziś wspominam z grozą. Obudziło nas łomotanie do drzwi. Rodzice zerwali się z łóżka. Do domu wdarli się dwaj czerwonoarmiści i byliśmy pewni że to po nas – wywózka na Sybir. Mama pamięta do dziś pytanie bojców: Iwan Iwanowicz Świertlikow zdies żywiot? (Iwan Iwanowicz Świertlikow mieszka tutaj?) – Nie – usłyszeli odpowiedź. Przeszli do następnego pokoju, gdzie spaliśmy. Przyjrżeli się nam, a Izia nawet się nie obudziła. Po latach nasz ojciec, który był w Armii Andersa opowiadał nam, że człowieka o tym nazwisku spotkał w obozie w tajdze za Barnuałem. Towarzysze niedoli zaprzyjaźnili się, a Iwan opowiedział ojcu, że był nauczycielem gdzieś niedaleko Łachwy. Za jakąś nieprawomyślną wypowiedź, czy też z powodu czyjegoś doniesienia został uwięziony. Wieziony do obozu, zdołał uciec z pociągu. Nosił się z zamiarem ukrycia w bezpiecznym miejscu, ale go schwytano. Pięcioletni wyrok osadzenia w łagrze podwyższono mu po ucieczce do 15 lat.

W nocy z 28 na 29 stycznia 1940 roku mama poczuła ból. Tato poprosił sąsiada, aby odwiózł mamę do szpitala. Urodził się nam braciszek, któremu rodzice dali na imię Wojtuś. Mama z dumą powiedziała, że oto narodził się nam powstaniec styczniowy. Nazajutrz lekarz, który poprzedniego dnia gratulował mamie synka i życzył mu oraz całej rodzinie pomyślnej przyszłości, ostrzegł ojca: „Nu, ja nie

doniosę do władzy jak się pani wyraziła, ale proszę przestrzec żonę, aby była ostrożna. Łatwo narazić się na wywiezienie, a teraz mróz”. Uznał to widocznie za nieprzychylnie odniesienie się do władzy radzieckiej.

W maju 1940 roku przez komisje repatriacyjne zarejestrowali się Kamińscy, i w dość tajemniczy sposób wyjechali pod zabór niemiecki. Przed wyjazdem powiadomili nas o tym, ponieważ wiedzieli, że rodzina mamy mieszka w województwie krakowskim. Komisje repatriacyjne dla Polesia i Wołynia działały w Brześciu nad Bugiem i we Włodzimierzu Wołyńskim. Kwalifikowały one osoby mieszkające na terenach zagarniętych przez Związek Radziecki, lecz urodzone na terytorium podbitym przez Niemców. Wydawano im zezwolenia na powrót do miejsca urodzenia. Było to następstwem umowy pod mianem Ribbentrop-Mołotow. Rodzice uzgodnili, że my także wyjedziemy, najpierw jednak musieliśmy stawić się na Komisji Repatriacyjnej w Brześciu nad Bugiem. Mama miała wziąć ze sobą dokumenty taty i postarać się zarejestrować także i jego. Nie było to łatwą rzeczą, ponieważ ojciec był urodzony na Wołyniu. Tato w ostatniej chwili wycofał się. Powiedział, że w komisji i tak nie będą chcieli przychylić się do naszej prośby. On natomiast chce próbować dotrzeć do nas przez zieloną granicę, a wtedy dokumenty będą mu niezbędne. Z ciężkim sercem wyruszyliśmy do Brześcia na Bugiem. Cóż mama mogła ze sobą zabrać? Dużo miejsca zajęły pieluszki i koszulki dziecka.

Na miejscu oczekiwały tłumy ludzi. Nie było mowy, aby kobieta z małymi dziećmi bez wsparcia silnego ramienia dostała się do urzędu. Gdy siedzieliśmy na łące, aby nieco odpocząć, właścicielka mieszkania, z którego widok roztaczał się na łąkę, zaproponowała nam gościnę u siebie. Umyliśmy się, przygotowała nam obiad i pościel do spania. Otrzymała skromną zapłatę, ale z jej strony był to gest wielkiego miłosierdzia. Wieść o matce z trojgiem małych dzieci dotarła do przystojnej Rosjanki, żony generała. Ona chciała zapłacić nam dużą sumę pieniędzy, aby tylko oddać jej Izie. Siostrzyczka była pięknym dzieckiem, oni natomiast nie mogli mieć dzieci, za co generał obwiniał żonę. Oczywiście mama nie zgodziła się, a ja krzychałem: nie chcę, nie chcę oddać Izi...

Z trudem dotarliśmy do komisji repatriacyjnej we Włodzimierzu Wołyńskim. Pomogła nam młoda Polka, która także jechała w tym kierunku. Mama dostała się do komisji i otrzymała potrzebne dokumenty. Próbowaliśmy powiedzieć także o ojcu, ale bez papierów nie było o czym mówić. Następnie niedźmym pojazdem przewieziono nas do budynku straży granicznej, usytuowanego poza miastem. Rewidowali nas Rosjanie i Niemcy. Radziecka straż graniczna posunęła się nawet do rewizji osobistej, jednak cóż ukrytego mogli u nas znaleźć?

Niemcy przewieźli nas do Lublina i ulokowali w ogromnej hali, podobno dawnej stajni. Przez środek biegło przejście, a po obu stronach leżała słoma, od przejścia odgradzona barierami. Tylko słoma i nic więcej. Nie wiadomo, kto tam spał poprzednio, ale musieliśmy spędzić na niej noc. Ja dostałem zapalenia ucha, bolało mnie bardzo, a nie było do kogo zwrócić się o pomoc. Dolegliwość ta pozostała mi na całe życie. Na drugi dzień odbyła się dezynfekcja i nadzy stawiliśmy się przed oblicze członków komisji lekarskiej. Naczelnym lekarz nakrzyczał na służby porządkowe: „Jak śmieliście nam przysłać matkę z dziećmi, i to nagich ludzi. Czyja mam ich skierować na roboty?”. Stąd dowiedzieliśmy się, że ta niemiecka humanitarna działalność to zwykle oszustwo. Mama pokazała mi piękną, ciemnowłosą i niebieskooką dziewczynę. O niej mówił nam później sanitariusz, który z polecenia lekarza odprowadził nas na dworzec. Nazywał ją brzydkimi słowami, mówił, że lekarze polscy chcieli przypisać jej poważną chorobę, aby zwolnić ją od przymusowej pracy. Piękne dziewczęta, odpowiadające cechom rasy nordyckiej, przekazywano bowiem do ośrodków Lebensborn, z przeznaczeniem ich na przyszłe matki. Służyły one tam rozrodczości „Wielkich Niemiec”, rodząc „idealnych” obywateli. Partnerzy dla tych dziewcząt byli bowiem także specjalnie wyselekcjonowani. W najgorszych przypadkach dziewczęta kierowano do domów publicznych, zwłaszcza świadczących usługi „dzielnych wojowników” walczącym dla chwały „Wielkich Niemiec”. Co do owej dziewczyny, co nie chciała przyjąć pomocy lekarzy, nie wiemy jakie motywy nią kierowały. Różne pobudki kierowały ludźmi, w tym także działalność patriotyczna.

Ostatni etap podróży, z Lublina do Wolbromia należał do najtrudniejszych – jazda pociągiem z przesiadkami. Byliśmy już u kresu sił. Zauważyli nas na szczęście sąsiedzi rodziców mojej mamy. Ze zdumieniem i współczuciem zgarnęli czwórkę „łazarzów”, usadowili na furmance i zwieźli do Dobrej. Po drodze opowiadali o wydarzeniach w okolicy. Zaraz po wkroczeniu Niemcy aresztowali kilku znanych i szanowanych obywateli Pilicy i po prostu bez sądu rozstrzelali. Przez następne miesiące był spokój, nie było represji. Dopiero przed kilkoma dniami – przerażające wydarzenia! Trzech mężczyzn rozstrzelali pod ścianą domu przy rynku. Zabili ich za to, że prowadzili handel mięsem wieprzowym – kupowali od rolników poszczególne sztuki, ubijali i sprzedawali. Ogłoszono, że oszukują władze niemieckie, działają na szkodę gospodarki Niemiec. Oskarżono ich o zdejmowanie kolczyków z dużych sztuk, i nakładanie małym. Ta egzekucja miała odstraszyć wszystkich prowadzących nielegalny handel żywnością. Mimo represji, proceder ten nadal był prowadzony. Pilica leżała bowiem w Generalnym Gubernatorstwie przy granicy ze Śląskiem, ziemią wcieloną do Niemiec. W Podzamczu oddalonym o 10

kilometrów był posterunek graniczny. Z handlu między Generalną Gubernią a Rzeszą Niemiecką, utrzymywało się dużo ludzi, bo z czego miano żyć w kraju grabionym przez okupantów.

Rozmawiając w ten sposób zbliżyliśmy się do obszernego domu, oddzielonego od drogi pięknym sadem. Wysła babcia, za chwile pojawił się dziadek. Zdumienie i okrzyki powitania. Zauważyłem, że pod dziadkiem ugięły się nogi. Szeptał: „Wolałbym na marach być, niż taki zobaczyć nieszczęsny powrót córki”. A babcia już trzymała na rękach malutkiego Wojtusia, wujek Antoś chwycił mnie, a służąca Hanula Izie. Zabrano nas do obszernej kuchni, dano obiad, a potem spać, spać...

Na drugi dzień rozglądałem się po obszernym mieszkaniu moich dziadków. Ogromna kuchnia, sień, a po drugiej stronie duży pokój. Następny pokój równie duży, potem znów sień z wejściem do piwnicy i dalej spichlerz. Stały w nim wielkie szafarnie, świadczące o dawnym dostatkach. Sad dochodził aż do drogi, a czworobok zamykał wjazd i piękna stara kuźnia. W niej znajdowało się palenisko, miech kowalski i różne urządzenia. Było też wejście na ogromny strych.

Już wtedy obraz pięknej posesji w dużym stopniu wpłynął na moją przyszłą decyzję o wyborze zawodu rolnika. Wróciłem do pierwszego pokoju. Przez środek sufitu umieszczony był stragarz. Mama przeczytała mi słowa: Fundatorowie – Franciszek i Katarzyna Rochowie, dnia 5 lipca 1865 roku. Ach, to ten modrzewiowy dom, wystawiony tuż po upadku Powstania Styczniowego. Babcia nieraz mi opowiadała, że Franciszek Roch był wielce szanowanym długoletnim wójtem gminy Pilica. Miał wiele ziemi własnej i dzierżawionej. Później to się rozpadło, bo liczni potomkowie mniej dbali o prestiż rodziny. Dziadkowi przypadło w udziale tylko dwadzieścia kilka morgów ziemi. Tradycją przechowaną w rodzinie i zapisaną w kronice parafialnego kościoła było, że pradziadek własnym sumptem ogroził cmentarz pilicki. Drugą tradycją było, że pradziadek pomagał powstańcom, a jednemu z nich, który uciekł z „kozy” w Pilicy i przybył do niego, rozkuł więzy i pomógł mu uciec.

Dnie płynęły za dniami. Z trudem dochodziliśmy do zdrowia. Wojtuś dłuższy czas chorował, a doktor Waclaw Osiecki, jak później się dowiedzieliśmy, członek Armii Krajowej, przepisywał mu różne witaminy, dawał tran i witaminy, co było skuteczne.

Przez pewien czas mama pracowała jako nauczycielka w Ryczowie, wsi położonej 5 kilometrów od Pilicy. Gdy jednak Niemcy zażądali podpisania Verpflichtungu, który opiewał, że podpisujący będzie lojalny wobec władzy niemieckiej, a przysięgę złożoną państwu polskiemu uznaje się za nieobowiązującą go, mama zwołała się z pracy motywując decyzję koniecznością opiekowania się dziećmi. „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz” – zakończyła sprawę. Natomiast przychodziły do nas dzieci pojedynczo uczyć się, ale częściej mama chodziła do szkoły w Sławinowie, tam po lekcjach z panią Musiałową, nazwisk innych nauczycielek nie pamiętam, tajnie uczyły języka polskiego, historii, geografii, bo program szkoły był tak skonstruowany, aby tylko nauczyć czytać, pisać i liczyć, no bo to wystarczy tym, co będą musieli pracować na rzecz III Rzeszy Niemieckiej.

Natomiast zastanawiało mnie coś innego. Do nas czasem przychodziły Janka Korczyńska i Zosia Końcówna, które jeszcze przed naszym przyjazdem uczęszczały do tajnego gimnazjum w Wierbce. Mama, która na początku 1942 roku wstąpiła do AK, wciągnęła Jankę i Zosię do tej organizacji. Były łączniczkami od komendantki „Myszkowskiej”, która mieszkała w Pilicy do kapitana „Białonia”, leśniczego w Dzwonowicach i do osób z AK w Kidowie. Ta wieś była malowniczo położona „za górą” w falistym terenie Jury Krakowsko-Częstochowskiej. W Kidowie było wydawane podziemne pismo „Biuletyn Informacyjny” o podtytule „Odgłosy” później przemianowane na „Sygnały”. Łączniczki przynosiły paczki z pismami, u nas część zostawiała mamie, a dalej nosiły do Pilicy, Udorza, Chliny, Wolbromia. W Dobrej było niewiele osób z AK, ale prawie cała wieś to członkowie Batalionów Chłopskich i niewielu komunistów. Ich to z jakiegoś powodu spotykały aresztowania. Aresztowano komunistę Bilskiego. Kiedyś indziej nad ranem czterej uzbrojeni Niemcy otoczyli samotnie pośród łąk stojącego komunistycznego działacza, jeśli dobrze pamiętam Felka Ptaka. On spał na strychu. Siostra ostrzegła – Niemcy, uciekaj! Cicho otworzył okienko i skoczył wprost na Niemca stojącego na wprost okienka. Nim się zorientowali i zaczęli strzelać Felek już był między domami i pognął do Pilicy, gdzie się ukrył.

Przeżyliśmy straszną tragedię. Aż do nas dochodziły odgłosy strzałów z Poręby Dzierżnej – wsi oddalonej od nas o kilkanaście kilometrów. Rozstrzelano tam ponad 140 mężczyzn. Kazano im stanąć pod ścianą domu i seriami z karabinu maszynowego koszonego ludzi, dobijano pojedynczymi strzałami. Jeden z rannych wyczołgał się w zboże. Lekarze w szpitalu wyleczyli go, ukrywając przyczynę choroby. Rozpacz, szloch kobiet i dzieci. Przyczyną pacyfikacji było zastrzelenie przez partyzantów z GL trzech Niemców przez wieś przejeżdżających furmanką. W niedzielę przez Porębę Dzierżną jadąc do Chliny płakaliśmy, widząc okropną ludzką tragedię

Zatrzymaliśmy się w Udorze, aby uczcić pamięć akowców, którzy śmiercią przypłacili zamach na Koppego, tędy przejeżdżającego szefa Gestapo, kata mieszkańców Krakowa.

Mogilą, która stała się przedmiotem kultu, opiekowali się właściciele majątku w Udorze i okoliczna ludność. Trudno zliczyć wszystkie tragiczne wydarzenia tych lat wojennych. Bardzo przeżywaliśmy to, co działo się z Żydami. W lecie 1941 roku wypędzono Żydów z Pilicy w świat, niech sobie szukają

miejsca gdzie chcą. W Pilicy około połowa ludności to Żydzi. Przeszli ulicami miasta, szli przez naszą wieś z tobołami, walizami, część zatrzymała się koło studni, kobiety, dzieci usiadły na przykopie oddzielającej ziemię naszego dziadka od błonia. Niektórzy handlowali. Delegacja Żydów poszła do władz niemieckich prosząc o zmianę decyzji. Kazano im dać okup, dać dużo pieniędzy, to pozwolą im wrócić. Tak uczyniono. Ale im dalej, tym było gorzej. Wolno było bezkarnie zabijać, wywożono ich do Oświęcimia i innych miejsc kaźni. Polacy ukrywali Żydów. W Sławniowie, w domu trochę oddalonym od wsi ukrywano chyba około 10 osób. Myśleli, że wojna szybko się skończy, coraz trudniej było wyżywić dużą liczbę ludzi. Poza tym w poszerzonej piwnicy coraz trudniej było żyć. Była tam jakaś awantura, jedna kobieta doznała szoku, wymknęła się i błakała po wsi. Wieść dotarła do Niemców. Przyjechała ekipa, rzucili bomby zapalające. Dom spłonął. Żydzi zginęli. Właściciele domu uciekli, ale to miejsce było długo pod obserwacją. Za przechowywanie Żydów była kara śmierci. My wszyscy nie mogliśmy tego zrozumieć i przeżyć. Powieści człowieka za to, że pomaga drugiemu człowiekowi. Razu pewnego, mama przyszła z Pilicy wstrząśnięta. Szła do domu ulicą Krakowską, a tu po przeciwnej stronie w przeciwnym kierunku Niemcy prowadzą Żydów, chyba 9 osób. Jakiś zgarbiony stary człowiek, chyba małżeńska para, jakiś młody mężczyzna, kilkoro dzieci w różnym wieku. Prowadzili ich w stronę zamku. Szli w milczeniu ze spuszczoneymi głowami. Podobno każą się im rozbierać, strzelają i zakopują w rowie. Jak to usłyszałem, nie mogłem się uspokoić. Tak zakopać człowieka – tak po prostu zakopują. Raz sołtys wyznaczył podwodę, żeby zawieźć Niemców do lasu. Chyba dym zdradził, że w bunkrze wykopanym przez Żydów oni gotują, czy też się ogrzewają. Wywleczono ich i rozstrzelano. Cała wieś przeżyła to tragiczne zdarzenie.

Dużo jeszcze było trudnych spraw. Im dalej tym trudniej było żyć. Niemcy w ramach kontyngentów zagarniali zboże, bydło rogate, trzodę chlewną. W drugiej połowie 1943 roku kiedy załamywała się niemiecka gospodarka, tym bardziej było wyniszczające ściąganie dostaw żywności. Sołtys niesprawiedliwie wyznaczał daniny, nie zachowywał postawy uczciwej i patriotycznej. Zbyt daleko idące posłuszeństwo wobec Niemców doprowadziło do tragedii. Niemcy nakazywali sołtysom, aby zawiadamiali o każdej osobie, która chce przenocować we wsi. W myśl tego rozkazu doniósł Niemcom, że u Sołtysiaka zatrzymał się jakiś człowiek z Kidowa. Był to Szwej, członek AK. Przyjechali Niemcy. On kartkę, którą miał przy sobie ukrył w piecu. Znaleźli i odczytali. Była tam jakaś wiadomość, której jeszcze nie doręczył komuś z konspiracji. Aresztowano go, lecz po pewnym czasie zwolniono. To wzbudziło podejrzenia. Był obserwowany przez wywiad AK. Widząc, że wybiera się do Pilicy, zrewidowali go. Znaleźli przy nim listę kilkunastu mieszkańców Kidowa, członków AK i BCh. Oczywiście został rozstrzelany. Przed śmiercią przeproszał i usprawiedliwiał się, że nie wytrzymał tortur i poszedł na współpracę. W „Odgłosach” i „Zryw” jeszcze raz ostrzegano, że nie wolno ślepo wykonywać rozkazów niemieckich. Zamieszczono także hasło „Strzeżcie się Cienia”. Był to bardzo niebezpieczny konfident. Zastrzelono go na jarmarku w Pilicy. W tłoku nie rozpoznano, kto to zrobił. Sprawa szczęśliwie przeszła bez groźnych następstw. Druga połowa 1943 roku to okres, kiedy Niemcy mniej już ufni w swoje zwycięstwa, przynajmniej na naszym terenie za zlikwidowanie swego agenta nie wyciągali najgorszych konsekwencji. Podobnie w Wolbromiu likwidowano konfidentów. Sołtysowi także nie uszedł płazem jego postępek. Nocą karna ekspedycja BCh wtargnęła do jego zagrody, pobili go dotkliwie, a najpierw odczytali w imię Polskiej Rzeczypospolitej ostrzeżenie, że następny nieetyczny postępek skończy się wyrokiem śmierci. Ostrzegali także przed niesprawiedliwym wymierzaniem kontyngentów.

W tym bardzo niebezpiecznym czasie bywało, że ktoś przychodził z prośbą, aby udzielić mu gościny. Pamiętam bardzo miłą Hanię Wojtaśkiewicz. W Pilicy grasowało Kripo – kryminalna niemiecka policja tropiąca „bandytów”, czyli konspiratorów. Po wojnie mama powiedziała, że Hania to łączniczka AK, bandyci w tym czasie rzeczywiście dawali się we znaki. Pewnego wieczoru wpadli do nas trzej postawni mężczyźni żądając pieniędzy i ciepłej odzieży, bo są partyzantami, mieszkają w lesie, a noce są coraz zimniejsze. Partyzanci i rabujecie – chcieliśmy się przeciwstawić. Zabrali babci ciepłą pelisę, parę kur i odeszli. Niedługo potem usłyszeliśmy, że zostali rozstrzelani w myśl dekretów Polski Podziemnej, dotyczących zwalczania bandytyzmu.

Nazajutrz nowa niemiła sprawa. Mama przyszła z Pilicy bardzo przejęta. Była łapanka. Ludzi łapano na roboty do Niemiec. U wylotu ulicy Żarnowieckiej i Krakowskiej stały budy. Tak nazywano auta, do których tłoczono ludzi. Niemcy w żółtych mundurach zatrzymywali uciekających w popłochu. Był to dzień targowy, więc podobno udało im się sporo osób zatrzymać. Już im nie wystarczyło tych, co im przekazywali sołtysi w ramach kontyngentów. Coraz więcej potrzebowali ludzi dla utrzymania gospodarki, bo i coraz więcej swoich powoływali do wojska. Mama poszła przez ulicę Zarzeczce, bo myślała, że tam nie spotka „żółtków”. Ale tam właśnie stał i ręką dał znak, aby podeszła. Mówił, że będzie musiała pojechać do Niemiec. Mama pokazała nasze metryczki i choć słabo władała językiem niemieckim, wytłumaczyła: Ich habe drei kleine Kinder (mam troje małych dzieci). Niemiec przyjął to wytłumaczenie. Innym razem dowiedziawszy się o łapance, poszła przez wiejskie ogrody na zaplecze domów. A tam na środku wiejskich ogrodów stał Niemiec i zatrzymał mamę. W taki sam sposób wytłumaczyła się.

Niemcom byli potrzebni ludzie do kopania okopów. Spodziewali się zatrzymać Armię Czerwoną na linii Wisły. Od kilku miesięcy stał front, Armia Czerwona po wielu zwycięstwach zatrzymała się. Podobno musieli uporządkować rozciągniętą linię ofensywy. Podobno powstał jakiś polski rząd przy Sowietach. Mówiono też, że wydano jakiś manifest o wielu zmianach w rządzeniu państwem. Wiele mówiono o Armii Polskiej na Zachodzie i o Polskim Wojsku tworzonym przy Armii Czerwonej. A może nasz tatuś przyjedzie z któryś z tych wojsk? Ja już miałem ponad 7 lat i bardzo tęskniłem za tatą, Izia już go nie pamiętała, a Wojtuś w chwili naszego wyjazdu miał zaledwie 3,5 miesiąca.

Do kopania okopów sołtys wyznaczył naszą służącą Hanulę, osobę już niemłodą. Trafiła na dość dobre warunki i nie narzekała. Gdy nas odwiedziła, śmiała się: „Dobrze jest zobaczyć coś nowego, a te Szwabysy zawsze tacy pewni siebie, to teraz są całkiem grzeczni”.

Kiedyś byłem z mamą w Pilicy i widzieliśmy oddział wojska niemieckiego, kierowany na front. To już nie ci władcy elegancy, butni, ale chłopcy szczupłutcy, podobno siedemnastoletni, odziani w mundury niezupełnie dostosowane, między nimi niemłody kulejący. Już resztki swoich wymiatali, a od nas na to miejsce coraz więcej ludzi żądali.

Od końca 1943 roku to u nas już była prawie zupełna dekonspiracja. Na ogół ludzie wiedzieli kto, gdzie i do jakiej należał organizacji. Pewnego zimowego wieczoru weszli do nas chłopcy – kilkunastu młodzieńców – chyba z BCh. Ukłonili się babci, mamie powiedzieli jakiś komplement i śpiewali, chyba wszystkie partyzanckie piosenki wyśpiewali. W tym czasie mniej obawiano się Niemców, właściwą władzą była polska partyzantka. Gdy chcieli kogoś aresztować, lub na egzekucję jeździli liczną grupą. W pobliskich wioskach Niemcy zlikwidowali posterunek policji, a wzmocnili punkt w Pilicy. Zrobili to dlatego, że partyzanci otaczali posterunek, wkraczali energicznie i z okrzykiem „Hende hoch” (ręce w górę) rozbrajali Niemców, „by Polaków dozbroid i zasłużyć na chwałę i cześć”. Jeśli dobrze pamiętam tak stało się w sąsiedniej wsi Strzegowej. Upłynęło sporo czasu, nim wieść dotarła do Pilicy i przyjechała wzmocniona ekipa uwolnić ich z więzów.

Tymczasem front stał kilka miesięcy nad Wisłą. Jak ciężko było przeżyć te dni przed końcem niewoli. Ale czy nadejdzie prawdziwa wolność? Akowcy nie byli pewni sytuacji. O tym mama rozmawiała z babcią, oraz Klaudią i Grażyną. Akowców uważano za wrogów ustroju komunistycznego, więc obawiano się represji ze strony NKWD (sowieckiej politycznej policji). W Armii Czerwonej zajmowali wysokie stanowiska i było ich niemało. Ale trzeba było przygotować się na ich przyjęcie. Nadzieje pokładano w idącej z nimi Polskiej Armii. Radio Kościuszko z Moskwy nawoływało do powszechnego powstania. U nas przygotowywano suchary i wszelkie zapasy żywności. Mama została przeszkolona na kursie sanitarnym w Udorzu, a później przeszkoliła Grażynę i Klaudię. Obiektem wykorzystanym w tej nauce był nasz wujek Antoś. Dziewczęta bandażowały mu głowę, ręce, uczyły się opatrywać rany. My dzieci także bawiliśmy się w sanitariuszy.

1 sierpnia 1944 roku godzina W. W Warszawie wybuchło powstanie. Początkowo były zwycięstwa, powstańcy walczyli bohatersko, ale pomoc była konieczna. Armia Czerwona stała na drugim brzegu Wisły, lecz nie udzieliła pomocy. Stalin osobiście z Moskwy działał przeciw powstaniu. Nie pozwalał lądować samolotom alianckim niosącym pomoc.

Wieść niosła, że zdjęto z funkcji dowódcę Wojsk Polskich Zygmunta Berlinga, za to, że chciał z wojskiem polskim iść na pomoc Warszawie. W sercach złość rosła. My dzieci bardzo się tym przejmowaliśmy. Ja, Wojtuś i Izia przebieraliśmy się za żołnierzy i wygrażaliśmy Stalinowi. Po 63 dniach straszliwych zmagani powstańcy musieli skapitulować. Jako jeńcy zostali wywiezieni do obozów, a ludność cywilną wypędzono z miasta, które systematycznie burzono.

Na Dobrą kilka osób przydzielono i byli na utrzymaniu gminy. Myśmy niewiele mogli im pomóc, bo wieś była zniszczona kontyngentami, ale jednak staraliśmy się ich wesprzeć.

U wujka księdza Bronisława Rajchla w Chlinie był jakiś lekarz zbiedzony, bo jak stał musiał opuścić stolicę.

W pobliżu rozegrała się bitwa. Oddział niemiecki stał w Dobrej, a od Sławniowa nacierały wojska sowieckie. Grad kul zmusił mieszkańców do opuszczenia domów i dobytku. Co się dało – pozabierano. Wojtuś, jak przystało na przyszłego wojskowego, okazał odwagę i zaradność. Niósł pod pachą czapkę marynarską, prezent od babci, a w rączce ręcznik. Zatrzymaliśmy się u Milejskich, bardzo aktywnych działaczy BCh. W nocy obudziły nas łuny pożarów. Niemcy spalili kilka domów i stodoł zapewne zabezpieczając się w ten sposób od niespodziewanej napaści. Z bólem przyjęliśmy wiadomość, że na Zarzeczej Górze spłonął piękny zabytek z czasów średniowiecza – drewniany kościół Św. Piotra. Ocalała dzwonnica, Niemcy odeszli. My powróciliśmy do domu, który na szczęście nie spłonął.

Front ruszył. Najpierw przyszli do nas zwiadowcy. Byli to dwaj oficerowie, w cywilu nauczyciele. Wdali się w rozmowę z mamą. Uważali, że w Związku Radzieckim panuje sprawiedliwość. Według tych samych zasad są sędzeni ludzie niezależnie od środowiska, z jakiego się wywodzą. Jeden z nich w łagrze odsiedział 8 lat, drugi 10. Za co? – Coś tam ukradli. Zwiadowcy poszli, a na drugi dzień przybył oddział piechoty. Rano zażądali, aby mama im ugotowała kartofli. Było to obciążające materialnie, a przede wszystkim psychicznie. W tej sytuacji mama wybrała się do krewnych w Wierbce. Chodziło także

---

o bezpieczeństwo. Jakiś kałmuk, podoficer w prymitywny sposób nadskakiwał mamie, co było zagrożeniem. U ciotki spotkała radzieckiego żołnierza. Wyuczonym sloganem wychwalał armię radziecką, władzę radziecką, kulturę radziecką.

Ledwie front przeszedł natychmiast mama wyjechała na Śląsk. Otrzymała pracę w szkole numer 4 w Szopienicach. Przydzielono nam obszerne mieszkanie naprzeciw parku przy ul. Karola Miarki. W 1948 roku tato wrócił. Po zwolnieniu go z obozu w Chimleschozie, usytuowanym w tajdze pod Barnaulem, wstąpił do armii Andersa. Niedługo podjął pracę i poczuliśmy się bezpieczną, przeciętnie sytuowaną rodziną.

Ja ukończyłem Technikum Rolnicze w Nakle pow. Pszczyna i po odbyciu praktyki objąłem gospodarstwo w Mykach gm. Dywity pow. Olsztyn.

I jakkolwiek teraz są trudne czasy dla rolników, wierzę, że będzie lepiej.